

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 1—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$  " — 40 "

$\frac{1}{4}$  " — 20 "

$\frac{1}{8}$  " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Landwarów—Koszedary.

W chwili, gdy to piszemy, nie jest jeszcze znany wyrok Trybunału Haskiego w sprawie tranzytu polsko-litewskiego. Nim jednak ten numer dojdzie do rąk naszych czytelników, wyrok niewątpliwie zapadnie. Mimo, że temat obrad Trybunału stanowi formalnie drobny lokalny problem komunikacji, sprawa posiada znaczenie o wiele głębsze, gdyż teza litewska wychodzi z założenia, iż kwestja komunikacji może być rozpoznawaną jedynie na tle całokształtu zatargu polsko-litewskiego o Wilno. W tym też duchu został zredagowany memoriał litewski. Nie mamy jeszcze wiadomości, czy Trybunał przychylił się do wniosku litewskiego, czy też zajął stanowisko formalistyczne, ograniczając rozprawy do kwestji technicznej otwarcia ruchu tranzytowego na linii Landwarowo—Koszedary. Ale rozpatrywana i w tej płaszczyźnie kwestja zahacza o szereg zagadnień natury politycznej.

Na widownię międzynarodową wypłynęła obecna sprawa na jesieni 1927 r. wskutek skarg, złożonych Lidze Narodów przez Voldemarasa na agresywne stanowisko Polski, rzekomo organizującej na swem terytorjum oddziały wojskowe, mające wkroczyć na Litwę. Sytuacja była wówczas bardzo naprężona i wszyscy doskonale pamiętamy owe krytyczne dni październikowe, kiedy zdawało się, że lada moment mają nastąpić doniosłe i decydujące posunięcia ze strony Marszałka Piłsudskiego. Wskutek interwencji czynników międzynarodowych do wybuchu jednakże nie doszło i konfliktem zajęła się Rada Ligi Narodów, która mu poświęciła całą swą sesję grudniową.

Voldemaras oskarżał w Genewie Polskę o organizowanie zamachu stanu przeciwko rządowi litewskiemu, i zgłaszał wniosek zbadania przez Ligę Narodów przygotowań polskich, w pierwszym zaś rze-

dzie tworzenia zbrojnych band z udziałem emigrantów litewskich. Min. Zaleski podkreślał ze swej strony, że Polska żywi jedynie pokojowe zamiary, czego dowodem miał być fakt, że Litwa uważała się za kraj, będący w stanie wojny z Polską, podczas gdy Polska tego stanowiska nie podzielała. Następnie przedstawiciel Polski skarżył się na nieprzebrany mur, wzniesiony przez Litwę i uniemożliwiający normalne sąsiedzkie stosunki.

Wynikiem długiej i uciążliwej debaty była kompromisowa rezolucja Rady Ligi Narodów, przyjęta przez obie strony, w której Litwa oświadczała, że nie znajduje się już w stanie wojny z Polską, a Polska ze swej strony zapewniała, że uznaje niepodległość i terytorjalną nienaruszalność republiki litewskiej. Rada L. N. zaleciła jednocześnie obu rządów podjęcie możliwie jaknajrychlej bezpośrednich rokowań, „ażeby doprowadzić do ustanowienia stosunków, wskazanych dla dwóch sąsiadujących państw i opartych na porozumieniu, od którego zależy pokój”. Rada postanowiła dalej, że zasadnicze sporne zagadnienia nie powinny być przytem poruszane.

Odbyły się następnie bezpośrednie rokowania między Polską a Litwą, dn. 30 marca 1928 r. w Królewcu. Rokowania te poza uregulowaniem lokalnego ruchu na tak zwanej linii demarkacyjnej żadnych pozytywnych wyników nie przyniosły. Natomiast Rada L. N. postanowiła w dniu 14 grudnia 1928 r., że komisja techniczna L. N. do spraw tranzytowych i komunikacyjnych „złoży sprawozdanie w sprawie środków praktycznych, któreby mogły być powzięte dla usunięcia istniejących między Polską a Litwą przeszkód komunikacji i osłabienia ich międzynarodowych oddziaływań”. Postanowienie to opierało się na art. 23 paktu L. N., w którym państwa L. N. zobowiązały się zastosować środki potrzebne dla zapewnienia swobody komunikacji i tranzytu oraz równouprawnienia handlu wszystkich państw L. N.

Wyłoniona komisja wyznaczyła z kolei podkomisję, która ze swej strony wyłoniła drugą podkomisję, dla zbadania całej sprawy na miejscu. Po długich i uciążliwych pracach komisja opracowała raport, obejmujący 40 stron druku i przekazała go we wrześniu 1930 r. Radzie L. N. Raport ten zawiera obszerny materiał statystyczny z okresu przed i powojennego oraz zajmuje się w pierwszym rzędzie sprawą spławu drzewa Niemnem i dopływami jak również sprawą transportu na linii Wilno—Szawle, względnie Wilno—Kowno. Raport podkreśla, że przez brak spławu drzewa i komunikacji kolejowej cierpią nie tylko interesy Litwy, lecz również interesy Polski a poczęści też państw trzecich. Komisja doszła do wniosku, że przeszkody uniemożliwiające spław drzewa i tranzyt na linii Landwarowo — Koszedary (Wilno — Kowno, względnie Wilno—Szawle) winny być usunięte. Istnienie bowiem tych przeszkód nie da się pogodzić z art. 23-cim paktu Ligi Narodów i postanowieniami międzynarodowymi, do których przestrzegania zobowiązały się Polska i Litwa.

Ani Polska ani Litwa raportu tego nie przyjęły. Rada L. N. zwróciła się przeto do Trybunału Haskiego z prośbą o wydanie opinii w powyżej wyłożonej sprawie. Przewodniczący Rady Henderson podkreślił wtedy, że konwencja kłajpedzka daje mocarstwom, które ją podpisały możliwość ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy polsko-litewskich stosunków komunikacyjnych przed Trybunałem Międzynarodowym. Artykuł 3-ci aneksu 3-go konwencji kłajpedzkiej głosi bowiem, iż „rząd litewski zapewnia swobodę komunikacji na morzu, wodach wewnętrznych i kolejach dla ruchu z Kłajpedy i do Kłajpedy oraz dla tranzytu przez obszar kłajpedzki, stosując się w tym względzie do postanowień statutu w sprawie

swobody komunikacji tranzytowej, przyjętego na konferencji barcelońskiej w dn. 14—20 kwietnia 1921 r.“.

Trudno orzec jak wypadnie opinia haskiego Trybunału Rozjemczego. Uwzględnić bowiem należy nie tylko liczne traktaty i postanowienia, lecz również kwestję ponownego podjęcia komunikacji na wymienionym głównym odcinku, co znów w bardzo znacznym stopniu zahaczałoby o sprawy, co do których oba rządy różnią się w poglądach, a które według rezolucji Rady L. N. z 1927 r. miałyby zostać nieporuszone. Innymi słowy kwestja podjęcia komunikacji między Wileńszczyzną a Litwą nie może być wyeliminowana z problemów politycznych. Komisja tranzytowo-komunikacyjna L. N. doszła w swym raporcie wprawdzie do stanowiska wręcz przeciwnego. Sądzi ona mianowicie, że sprawy administracyjne i konsularne, łączące się z podjęciem ruchu tranzytowego mogłyby być uregulowane przez państwa trzecie. Jednakże fakt odrzucenia zarówno przez Litwę jak Polskę raportu komisji świadczy aż nadto wyraźnie, że wszelka próba rozwiązania tych spraw komunikacyjnych głęboko się wiąże z politycznym problemem wileńskim.

## Kryzys organizacyj rolniczych.

Niedawno miejscowe organizacje rolnicze zostały powiadomione, że od 1-go października b. r. nie będą już udzielane im subwencje rządowe. Jeżeli zważyć, że organizacje rolnicze od szeregu lat korzystały ze znacznych subsydjów rządowych, i na nich tylko oparły swoją egzystencję — to stanie się jasnym, że w środowisku tem musiała powstać niebywała konsternacja. Szeroko na wpływach rządowych rozbudowane organizacje stanęły wobec zagad-

### V. KRĖVĖ-MICKIEWICZ.

## Marne życie.

*Przełożył z litewskiego W. Zaleski.*

### I.

Dwajnis obudził się w złym humorze. Spał dziś w gumnie, bo bał się, aby chłopcy—koniuchy nie oczyszcili mu sadu. A jutro święto, Zielna, będą więc całutką noc łazili, wiedząc, iż w dzień będą mogli wyspać się do syta.

Położył się Dwajnis na sianie pod samym szczytem dachu. Jeszcze z wieczora zaczęło padać, i dach przeciekł. Dwajnis musiał przenieść się na inne miejsce. Zlazł na klepisko, nakrył się kożuchem i zasnął. Całą noc śnił, że chłopcy trzęsą jabłka, gruszki i wciąż rzucają mu w plecy. A on leży pod gruszą i nie może wstać. Obudziwszy się poczuł, że bardzo zmarzł i że cała koszula na jego plecach mokra. Nic dziwnego, bo całą noc deszcz lał, a dach przeciekał. To byłoby jeszcze głupstwo, ale najgorsze, że jego je-

dyny nowy kożuch napił się wody: pewnie teraz popęka.

Dwajnis zarzucił kożuch na plecy i wyszedł z gumna. Już nie padało, lecz niebo było zachmurzone, trawa i drzewa mokre, a na ścieżce stały kałuże. Było Wniebowzięcie, i Dwajnis wybierał się do kościoła: trzeba przecież poświęcić nasiona. Wczoraj kazał synowi powrócić z pastwiska rano, raniuteńko i wpuścić konia do sadu, ale tam nikogo nie było.

— Gdzież on konia podział? — rzekł do siebie Dwajnis i wyszedł z sadu. Po deszczu na podwórzu było błoto po kolana, a koło śpichrza stała kałuża, jak jezioro. Dwajnis był boso i brnął prosto przez błoto.

— Pewno i w chacie przeciekło — pomyślał i, stanawszy na środku podwórka, oglądał się, jak gdyby poraz pierwszy widział swoją sadybę.

Chatka była stara, zbutwiała, lecz „na dwa końce”. Ściany w ziemię zapadły, do środka wkleśły. Okna małe, lecz i w nich połowa szyb była wybita. Jedne dziury były założone kawałkami szkła, drugie zaphane łachmanami. Okno przy drzwiach miało tylko dwie szyby, a drugie dwie były wyjęte: jedna dziura była zatkana starą spódnicą, druga zaś jego

nienia likwidacji, lub szukania jakichś środków ratowniczych, charakteru jednak bliżej nieokreślonego, nie będąc całkiem przygotowane zresztą do samodzielnego istnienia.

Fakt cofnięcia subwencji organizacjom rolniczym, w sposób nagły, — jaskrawo odbija się na tle różowych nadziei na jakąś wielką pomoc rządową dla Wileńszczyzny, której jeszcze rok temu powszechnie się u nas łudono.

Mija właśnie rok, kiedy to w Warszawie odbyła się narada u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, poświęcona zagadnieniom szerokiej pomocy Wileńszczyźnie. Wtedy to organizacje rolnicze wystąpiły z bardzo rozległymi żądaniem pomocy rolnictwu Wileńszczyzny, między innymi wskazując na potrzebę jeszcze szerszego subwencjonowania prac towarzystw rolniczych. Już wkrótce stało się jasnym, że rząd nie pójdzie po linii rozległych projektów ratowniczych, przedłożonych przez sfery gospodarcze, jednak nikomu na myśl nie przychodziło, że nawet organizacje rolnicze, zdawało się taką pieczołowitą opieką otaczane dotychczas, zostaną pozbawione nagle środków egzystencji.

Na tle tego faktu zupełnie wyraźnie zarysowuje się cała sztuczność tej kunsztownie rozbudowanej organizacji, która powstała i żyła nie z soków miejscowego społeczeństwa, a była, jak kwiatek ciepłarniany, ogrzewana stale zzewnątrz dopływającym ciepłem. Cofnięcie subwencji rządowych grozi zawaleniem się w nicłość, zdawało się, potężnie rozbudowanej organizacji. Okazuje się bowiem, że wszystko to trzymało się kupy tylko dzięki ciągłym świadczeniom zzewnątrz, lekkomyślnie zaś zaniedbano oglądać się na własne siły.

Niejednokrotnie podkreślaliśmy w „Przeglądzie Wileńskim” ten objaw sztuczności bytu różnorodnych, powstałych na naszym gruncie, organizacji. Nie powstawały one na trwałych fundamentach naturalnych sił miejscowego społeczeństwa, nie wyrastały drogą ewolucji z gleby miejscowej, lecz drogą sztucznego forsowania, zawsze czerpiąc wszelkie środki tylko z łatwych źródeł subsydjalnych. Siłom miejscowym, może słabym i zgniebionym po wojnie,

przeciwstawiało się zwykle potęgę wpływów zzewnątrz. To nie tylko hamowało energię miejscowych czynników społecznych, lecz szkodliwie demoralizowało je i paraliżowało wszelką dążność do samodzielnej, twórczej pracy. Przez to systematycznie zagważdżało się miejscową inicjatywę, odsuwało się miejscowe siły, nieraz wartościowe, od pracy i stwarzało niesłuszny przywilej dla ludzi, przez ręce których przechodzić musiały obfite subwencje, zdobywane drogą specjalnych, a dla ogółu niedostępnych, stosunków.

Nie wiemy dokładnie co skłoniło rząd do cofnięcia dotychczasowych subwencji. Wskazują powszechnie na potrzeby oszczędnościowe. Czy tylko to jest przyczyną — nie chcemy o tem wyrokować. W każdym razie polityka rządu, a ściślej biorąc ministerstwa rolnictwa — jest conajmniej niezrozumiałą. Wszak nie kto inny, jak rząd pośrednio i bezpośrednio wpływał na kształtowanie się stosunków w organizacjach rolniczych. Rząd wszak aprobował i wzmacniał ten stan rzeczy, o którym wyżej mówiliśmy. Wspierane przez rząd organizacje rolnicze, stały się siłą rzeczy jedyną platformą ekspansji państwa w dziedzinie kultury i postępu rolniczego. Jeżeli mówiliśmy o ujemnych cechach sztucznej rozbudowy organizacji, to nie chcieliśmy przez to negować naturalnych obowiązków każdego rządu w stosunku do potrzeb rozwojowych rolnictwa. W naszym kraju obowiązki te były specjalnie duże, ze względu na niski stan kultury rolnej i, specjalnie, na wielkie potrzeby tutejszego rolnictwa. Nie zważając na swoją konstrukcyjną wadliwość, istniejące organizacje rolnicze siłą rzeczy stały się, w tak układających się warunkach, jedynymi punktami styczności rządu z gruntem wiejskim. Bądź co bądź organizacje rolnicze, a więc kółka, związki spółdzielcze — stawały się ośrodkami, z których rozszerzała się kultura rolnicza. Raptowne zerwanie tych kunsztownie przez szereg lat pielęgnowanych ośrodków — uderzy bez wątpienia i w interesy rolnictwa.

W organizacjach pracował szereg specjalistów rolnych, utrzymywanych przez rząd. Cofnięcie subwencji rządowych usunie z terenu wsi tych pracow-

siermięgą, którą jeszcze wczoraj miał na sobie; rękawy swobodnie zwisały i poruszały się za każdym podmuchem wiatru.

— To kobiety psiajuchy kury ganiały. Wszystkie okna powynosiły. — rzekł do siebie Dwajnis.

Dach był stary, porośnięty trawą i mchem. Komin był pochylony, a szczyt dachu rozgrzebany przez wróble, przez wiatr potargany.

— Trzeba by było zbudować nową chatę, ale skąd wziąć pieniędzy? — myślał Dwajnis: — zresztą na moje życie wystarczy i tej, a syn, jeżeli chce, niech sobie nową zbuduje. Ożeni się, weźmie duży posag i zbuduje sobie. Czego zresztą mnie biedować, jeżeli jego głowa o to nie boli. A może on nie dostanie dobrej dziewczuchy? Dostanie, — myślał dalej: — co prawda żyją marnie, ale syn jednak i na półtłóce siedzi. I chłopiec niczego sobie, tylko że niebardzo słucha ojca, łajdak. Tyle czasu, a jego jeszcze niema w domu, choć wczoraj mu kazał wcześniej powrócić. Tylko kto wie, czy już późno.

Dwajnis podniósł głowę i popatrzał na niebo. Ale niebo było pokryte gęstymi chmurami, i nie można było nawet odgadnąć jak wysoko teraz stoi słońce. Tylko z tego, że sąsiad Gajdis, co to zeszłego

roku kupił sobie ścienny zegar, smarował koła w szopce, można było wnioskować, że pora już późna.

— Gdzie on się podział z tym koniem? Spiore łajdakowi skórę, gdy wrócił! — zdecydował.

— Piotruśka, czy Kaziuk jeszcze nie wrócił? — spytał córki, która pokazała się na progu chaty i tuż na miejscu bluznęła z miski pomyje.

— Gdzie tam powrócił! pewno zasnął gdzie i chrapie. Drudzy z paszy już dawno powrócili.

— Może wypędził gdzie indziej konie na paszę, — pomyślał Dwajnis i powiesił kozuch na drzwiach. Potem poszedł do szopy, wyciągnął wóz na podwórko i przyniósł ze świrna smarowidło. Zsunął jedno koło — posmarował, drugie... Związał siedzenie, przyniósł z gumna grochowin, napakował i znowu wepchnął wóz do szopy.

Przygotowawszy wóz, poszedł do chaty.

Wejście do chaty Dwajnisa prowadziło wdół, bo izba niżej była położona, niż sionka. Drzwi niezbyt wysokie, wykrzywione. Gdy się wchodzi, trzeba się nisko schylić, aby głowy nie uderzyć. Podłoga z gliny, już chyba cały tydzień, jak nie zamiatana. Błota po kostki, zwłaszcza przy drzwiach, gdzie na niskim stołku stał

ników. Nikt ich wszak narazie nie zastąpi, nikt ich pracy kontynuować nie będzie. Z tego powodu wygląda na to, że rząd wogóle zrezygnował ze świadczeń na rzecz kultury rolnej w naszym kraju. A nie byłoby to nawet usprawiedliwione poczynaniami oszczędnościowymi, gdyż pewne minimum świadczeń dla kultury rolnej musi rząd zobowiązywać.

Niezależnie od tego powstaje pytanie, w jaki sposób na to zareaguje miejscowe społeczeństwo rolnicze. Czy będzie obojętnie przyglądać się upadkowi sztucznie, bez jego prawie udziału, tworzonemu gmachowi organizacyjnemu, czy też fakt ten pobudzi je do jakiejś inicjatywy samostnej. Niedawno ukazał się w wileńskim „Tygodniku Rolniczym” — artykuł b. ministra Staniewicza w sprawie stanu rzeczy w organizacjach rolniczych. Prof. Staniewicz zupełnie słusznie ujmuje sam słabe strony organizacji, które jego zdaniem, wynikają z dwóch przyczyn. Z jednej strony zwraca uwagę na nienormalność oparcia się całkowitego na subwencjach rządowych, które w konsekwencji, jak to wskazaliśmy, pociągają za sobą upośledzenie w nich miejscowego czynnika społecznego. Z drugiej zaś — bardzo trafnie wytyka zupełne podporządkowanie się organizacyjne Warszawie i wyraźnie nawołuje do utworzenia samodzielnego towarzystwa rolniczego, które obejmowałoby teren naszego kraju i tylko na zasadach federacji wchodziłoby w skład Związku Polskich Organizacji Rolniczych. Zespolenie całkowite tutejszych organizacji rolniczych z Warszawą niewątpliwie odbiło się ujemnie na ich organizacyjnej wartości, a głównie oddało całą inicjatywę i reprezentację interesów w zupełnie niepowołane ręce. A właśnie wydaje się, że sprawa wytworzenia na rzetelnych zasadach opartej reprezentacji rolniczej, która naprawdę byłaby odgłosem miejscowej wsi, jest rzeczą pierwszorzędną dla prawidłowego rozwoju zorganizowanego życia rolniczego. Dotychczas dominujący głos w sprawach naszego rolnictwa mają czynniki, których supremacja sztucznie u nas została wytworzona, a zupełnie nie reprezentujące istotnego interesu miejscowego rolnictwa. Należy więc oczekiwać, że ten wstrząs, który wytworzony został przez cof-

nięcie subwencji rządowych, dobroczynnie pośrednio wpłynie na apatję i bierność miejscowych rolników.

*Rusticus.*

Z widoczną satysfakcją powołało się „Słowo” na wzmiankę ukraińskiego miesięcznika „Niwa” o „Przeglądzie Wileńskim”, w której nasze pismo zostało nazwane „niepolskim”.

Jeżeli „Słowo” sądzi, że ukłuło nas boleśnie w ten sposób, to jest w grubym błędzie, nigdy bowiem nie mieliśmy pretensji, by uchodzić za organ, broniący interesów narodowych polskich.

Stale przecież podkreślamy nasze stanowisko krajowe. Ideologia zaś krajowa wyklucza wszelką wyłączność narodową i wymaga podporządkowania interesów poszczególnych narodowości, kraj nasz zamieszkujących, interesom całości. Krajowość jest syntezą wszystkich części składowych tego organizmu, który nosił niegdyś miano W. Ks. Litewskie i opiera się na przesłankach terytorjalnych, a nie narodowościowych.

Solidarność współobywatelska przeto powinna, naszym zdaniem, górować nad poczuciem wspólności językowej i kulturalnej i ten to właśnie zasadniczy punkt widzenia nadaje naszemu piśmie specjalne zabarwienie, wyodrębniające je spośród ogółu prasy polskiej.

## „Nowy” i „najnowszy” kurs polityki polskiej w sprawie białoruskiej.

I.

Niewesoło zapowiada się rok szkolny dla społeczeństwa białoruskiego. Z trzech gimnazjów, które dotąd ocalały i które zostały utworzone z takim wysiłkiem i z takimi ofiarami ze strony społeczeństwa białoruskiego, w których zdobywały wiedzę zaledwie nieliczni wybrańcy ludu z pośród półmilionowej gromady dzieci białoruskich w wieku szkolnym — jedno zostało zamknięte całkiem, drugie odniosło szereg

wciąż ceber z wodą, a pod stołkiem niecka pełna pomyj. Widocznie ceber ciekł, a może i niecka, bo pod stołkiem zawsze stała kałuża. Dokoła przy ścianie stały ławy, poczerniałe, brudne. Szczególniej brudny był kąć za półką, na której były poustawiane garnki, garnuszki, miski — zanieczyszczone kasza, mlekiem. W jednej z nich leżały łyżki, niewymyte jeszcze po wczorajszej wieczerzy.

W innym kącie, w jasnym, stał zbitý z prostych, nieheblowanych desek stół. Tak był zapeckany, że nie można było odgadnąć, czy był biały, czy też malowany. Cały był muchami upstrzony, miejscami błyszczał, jakgdyby tłuszcem wysmarowany. Na jednym końcu leżał bochenek chleba, nakryty ręcznikiem, który niegdyś musiał być białym, ale teraz to mógł stwierdzić tylko jakiś bardzo przenikliwy badacz. Naokoło bochenka pełno było okruchów chleba.

W trzecim kącie izby stały dwa łóżka; jedno wzdłuż ściany, drugie wpoprzek. Pod jednym i pod drugim łóżkiem były zepchnięte łóżeczka, jedno mniejsze, drugie większe. W mniejszym było teraz złożone zielsko, w którym, wyciągnąwszy połowę na ziemię, ryły się dwa prosiaki. Pod ławkami kwiczało jeszcze kilka prosiaków.

Ławy były zawalone odzieżą, z której połowica Dwajnis, nie mogąc się zmieścić w łóżku, zrobiła sobie posłanie. Zwłaszcza duża kupa wszelakiego odzienia leżała w kącie za łóżkiem.

Łóżka — niczem świński barłóg. W jednym jeszcze leżała dziewczynka nakryta kożuchem.

Tuż nad łóżkami umocowane były szaragi, na których wisały spódnice, fartuchy, chusty i inne lepsze ubrania, przeznaczone na dzień świąteczny.

Pod stołem leżały klumpie i stare, wykrzywione, prawie że dopołowy cholew zabłocone buty; obok leżały brudne, zeschnięte, błotem oblepione onuczki.

Po izbie spacerowały kury. Jedna z nich grzebała w kącie przy piecu, gdzie była zmieciona ogromna kupa śmieci, druga frunęła na stół i dziobała okruchy chleba.

Wszedłszy do chaty, Dwajnis spędził ze stołu kurę, rzuciwszy w nią czapkę. Kura zagdakała i podskoczyła do góry, zaczepiając skrzydłem lampę, z której posypały się nieżywe muchy.

Dwajnis przytrzymał ręką lampę i usiadł na ławie.

— Czy Kaziuk jeszcze nie wrócił?

— Mówiłam przecie, że nie! — odburknęła córka

dotkliwych ciosów, które zachwiały podstawy jego istnienia.

Nawet umiarkowany i ostrożny zwykle „Bielar. Zwon”, organ t. zw. „białoruskiej sanacji” dał wyraz swemu oburzeniu, upatrując w tych zarządzeniach władz oświatowych „pogrom szkoły białoruskiej” i nazywając rzecz po imieniu. Pomijamy już stanowczy protest ze strony opozycyjnego Białoruskiego Komitetu Narodowego, zamieszczony na szpaltach „Biel. Krynicy”.

Ostatnie kroki władz szkolnych wywarły na społeczeństwo białoruskie tembardziej przygnębiające wrażenie, że zostały one uczynione na tle pozornie życzliwego kursu „nowej polityki białoruskiej” rządu polskiego, głoszącego hasło „pokojowego współzycia i braterskiej współpracy” ze wszystkimi mniejszościami narodowymi.

Cios, wymierzony w szkołę białoruską uderza jednocześnie i w tę jedyną dotąd grupę białoruską, która kosztem tylu ofiar, kosztem utraty taniej popularności w szerokich kołach swego społeczeństwa, poszła na ugodę w imię ratowania i stworzenia nowych kulturalno-narodowych wartości, w pierwszym rzędzie w imię rozwoju białoruskiej szkoły narodowej. „Pogrom szkoły białoruskiej” stanowi porażkę polityki kompromisowej, której próbę przedsięwzięła t. zw. „białoruska sanacja”.

Nowe doświadczenie, — jak i wszystkie dawne — nie udało się, i trzeba to stwierdzić, bynajmniej nie z winy strony białoruskiej. Słuszność, jak się okazało, mieli nie politycy-optimiści, stawiający na dobrą wolę i szczerą kontrahenta polskiego, lecz ci politycy opozycyjni — zdecydowani pesymiści, którzy w żadne porozumienie nie wierzyli i przestrzegali innych przed zbytnią łatwowiernością.

Zawód ten i rozczarowanie, oczywiście, nie pozostań bez śladu i bez wpływu na ukształtowanie się stosunków polsko-białoruskich w dalszej przyszłości.

Przyjrzyjmy się jednakże bliżej zarządzeniom władzy szkolnej. Dzieje gimnazjum kleckiego są niezmiernie charakterystyczne dla najnowszej fazy „nowego kursu” polityki białoruskiej obozu rządzącego.

Wyłącznym powodem zamknięcia gimnazjum

w Klecku — jak oficjalnie oświadczył sam p. kurator okręgu wileńskiego delegacji komitetu rodzicielskiego — jest „niski jego poziom wychowawczo-naukowy”.

A niemal w przededniu powyższego oświadczenia kuratora ta sama delegacja była przyjęta przez dyrektora departamentu szkolnictwa średniego w Warszawie, który udzielając delegacji uspakajających zapewnień co do losów gimnazjum, twierdził, że „w żadnym razie powodem zamknięcia gimnazjum nie mogą być braki pod względem pedagogicznym, ponieważ w roku minionym nie było ani jednej wizytacji w szkole”.

Jak pogodzić te dwa wręcz sprzeczne ze sobą oświadczenia?

Bądź co bądź pozostaje faktem, że wyrok śmierci na gimnazjum białoruskie został wydany i wykonany bez sądu i śledztwa, nie tylko bez wysłuchania pod sądowego, ale nawet zaocznie, jedynie na podstawie podejrzenia o niedostateczne kwalifikacje naukowo-wychowawcze. Wyrok tego rodzaju nie jest dopuszczalny nawet w sądach doraźnych, które właśnie ostatnio zostały wprowadzone w kraju.

P. kurator w rozmowie z delegacją przyznał się, że istotnie decyzję o zamknięciu gimnazjum w Klecku powziął zaocznie na podstawie wspomnień i wrażeń z wizytacji w latach ubiegłych.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że gdy chodzi o życie gimnazjum, wówczas taka instytucja jak szkoła ośmioletnia uważana jest za istotę jednoroczną, ponieważ koncesji się udziela tylko na jeden rok, gdy zaś trzeba uzasadnić wyrok śmierci, wtedy decydującym jest nie ten ostatni, *formalnie* jedyny rok życia gimnazjum, lecz wszystkie uprzednie lata.

Wskutek tego delegacja napróżno dowodziła, że akurat w ostatnim roku zostały przedsięwzięte radykalne środki celem udoskonalenia strony pedagogicznej w gimnazjum, że skład ciała nauczycielskiego nie jest gorszy od wielu gimnazjów polskich, ponieważ spośród 9 osób — 5 nauczycieli posiada dyplomy uniwersyteckie, czterem zaś kuratorjum przyznało prawo złożenia egzaminów uproszczonych.

która mieszała kaszę, postawiwszy na ławce przy piecu garnek z gotowaną wodą i mąką.

Pod ławką, pod którą stały garnki z przekwaśniałą zupą z zeszłego dnia, pies począł coś chęptać. Piotrusia, nie odrywając się od pracy, kopnęła go nogą tak, że aż zaskowyczał.

— Czy nie pójdziesz ty precz! — krzyknęła na psa: — dla ciebie tu przygotowano? Wypędziłbyś choć psa, — zwróciła się do ojca: — zeżre, i nie będzie co dać prosiakom.

Ojciec wstał i otworzył drzwi.

— A na dwór! — krzyknął na psa. Ten, spuściwszy ogon, rzucił się do drzwi całym pędem, ale Dwajnis zdążył go jednak kopnąć.

Potem Dwajnis zakasał rękawy, wziął ze stołka garnuszek, służący do czerpania wody, i zaczerpnął z cebra.

Nabrawszy pełne usta wody, lał na ręce i mył się.

— Tybyś choć szyję umył! — poradziła mu żona, leżąc na piecu: — a to czarna, jak cholewa, aż brzydko patrzeć.

— Jeżeli tobie brzydko, to nie patrz! — odparł żonie i ściągnawszy z chleba ręcznik, zaczął wycierać nos, usta i ręce. Szyi, uszu i policzków nawet nie umoczył.

Wytarłszy się ukląkł i począł odmawiać pacierze. Piotrusia skończyła mieszać kaszę, wepchnęła ją do pieca, aby się jeszcze pogotowała i, obłożyla rozżarzonemi węglami.

— Czy nie pójdziecie wy na dwór! — krzyknęła na kury, które znowu frunęły były na ławy, na stół i zdziobywały okruszynki chleba: — napaskudziłyście tu, żeby was jastrzębie powynosiły!

Schwyciła ten sam ręcznik, którym był chleb nakryty i wypędziła nim z chaty kury i prosiaki. Następnie poprzysuwała łóżka, wzięła z kąta miotłę i zaczęła zamiatać izbę.

— Tybyś, córeczko, choć pod ławami zamiotła, a to tam teraz kupa śmieci, — zachęcała ją matka.

— Wstanie Marysia, to zamiecie dobrze, a ja nie mam czasu. Oto leży rozwalona, jak krowa.

Zmiotła śmiecie przy piecu i postawiła miotłę w kącie.

Przybliżywszy się do łóżka, ściągnęła z dziewczynki kożuch.

— Wstawaj, zbytnico! Dość spać, już obiad. Choć śmiecie wyniesiesz.

Dziewczynka usiadła na łóżku i zaczęła skro-

P. kurator nie raczył ani uwierzyć tym zapewnieniom, ani ich sprawdzić.

Nie można przeto uważać wyroku śmierci, wydanego przez kuratorjum wileńskie na gimnazjum kleckie, za akt, że się tak wyrazimy, sędowo-pedagogicznej sprawiedliwości, należy go uznać całkowicie i wyłącznie za akt politycznej represji \*).

Zasadniczą bowiem różnicę pomiędzy wyrokiem sądowym i politycznym stanowi, jak wiadomo, to, że pierwszy jest wydawany *a posteriori* w wyniku poszukiwania prawdy, gdy drugi zapada *a priori*, już przy rozpoczęciu procesu...

Aby udowodnić dofinitywnie ten charakter polityczny wyroku śmierci na gimnazjum białoruskie w Klecku, wypada poszukać owego *a priori* w programie polityki białoruskiej sfer rządzących z ostatniego okresu.

Jak wiadomo, w wyniku zarówno specyficznych warunków zewnętrznych, jak też samobójczych wewnętrznych zamieszek i rozterek w łonie białoruskich działaczy politycznych, ostatnie wybory pozbawiły niemal całkowicie ludność białoruską w państwie polskiem własnej narodowej reprezentacji w Sejmie. W konsekwencji tego, w imieniu narodu białoruskiego, w charakterze jego formalnych wybrańców zaczęli przemawiać urbi et orbi przedstawiciele nie inteligencji białoruskiej, lecz inteligencji polskiej, należącej niemal bez wyjątku do obozu prorządowego.

Ten to właśnie zasadniczy fakt polityczny przekształcił świeżo narodzony „nowy kurs“ białoruskiej

\*) Dla uzupełnienia dziejów gimnazjów kleckiego należy nadmienić o następującym ciekawym epizodzie. Latem r. 1930 podczas swej bytności w Wilnie P. Prezydent Rzplitej przyjął delegację białoruskich organizacyj społecznych, której oświadczył: „Zapewniam Panów, iż żadnej krzywdy nie stanie się gimnazjum białoruskiemu w Klecku”. Słowa te rozeszły się szeroko wśród społeczeństwa białoruskiego i podziały uspokajająco na wzburzoną opinię. Nowa delegacja, która jeździła do Warszawy przed rozpoczęciem roku szkolnego, dowiedziawszy się od szefa kancelarii cywilnej, że w wykonaniu obietnicy P. Prezydenta zostało wystosowane pismo do Ministerstwa W. R. i O. P. z prośbą o „rozpatrzenie sprawy gimnazjum kleckiego możliwie przychylnie”. Nawet tak autorytatywna interwencja jednak nie odniosła skutku.

polityki sfer rządzących w „najnowszy”. W rezultacie zapanowała na ziemiach białoruskich taka sama sytuacja, jaka istniała tu przed pierwszemi wyborami w r. 1922, przedtem, nim inteligencja białoruska poraz pierwszy uzyskała możliwość utrzymywania, za pośrednictwem posłów, bezpośredniego i stałego kontaktu z ludnością.

Nie będziemy się tu wdawali w ocenę działalności parlamentarnej posłów białoruskich. Stwierdzamy jedynie fakty i wypływające z nich konsekwencje polityczne.

Otóż niewątpliwie bezpośrednim rezultatem politycznym klęski wyborczej Białorusinów było zupełne obniżenie w oczach władzy wartości i znaczenia inteligencji białoruskiej, jako tej, która utraciła formalnie związek i oparcie w masach ludowych. Inteligencja białoruska ze swemi narodowo-politycznymi ideałami, jeszcze tak niedawno, zdawało się, uznawanymi (przynajmniej w dziedzinie kulturalnej) przez najwybitniejszych przedstawicieli polskiej demokracji z obozu prorządowego, zawisła w powietrzu i znalazła się na łasce i niełasce owych demokratycznych żywiołów, wpływowych i bliskich rządowi, a niejednokrotnie przedtem deklarujących swą życzliwość wobec dezeratów białoruskich. Co były warte jednakże to oparcie i te sympatje, tego dowiódł wymownie dalszy rozwój wypadków, jako nieunikniona konsekwencja rezultatu wyborów w r. 1930.

Tak powstał „najnowszy kurs” w polityce polskiej wobec sprawy białoruskiej, którego najbardziej jaskrawym i elokwentnym wyrazicielem był zmarły tragicznie Tadeusz Hołówko.

Sulima.

---

Przypominamy Sz. Prenumeratorom  
że czas odnowić przedpłatę na kwartał  
IV-ty i drugie półrocze.

---

bać się i drapać, Piotrusia zebrała z ławy wszystką odzież i zrzuciła na łóżko.

— Ty byś, córeczko, zaniósła na drugi koniec. Dziś przecie święto. Przyjdzie kto, aż brzydko, że u nas taki nieporządek.

— Będę ja wam nosiła, — skrzywiła się Piotrusia; podeszła do pieca, wyjęła garnki, postawiła je na stołku, wyciągnęła z pod ławy zabrudzone ziemią denka, otarła je rękawem koszuli i nakryła garnki, aby do nich nie wpadały muchy, których tu były całe roje.

Pomodliwszy się ojciec usiadł na ławie.

— Czego się tam drapiesz? czy ciebie wszy opadły? — napadł na Marysię: — jak ściagnę pasem, to będziesz wiedziała.

— Już wszy zaraz. Pchły, żeby ich mór! Pokąsały mi ręce, — odpowiedziała dziewczynka, patrząc na ręce, pokryte czerwonymi plamkami.

Zgarnawszy od oczu włosy i poprawiwszy sukienkę, wyszła na dwór.

Piotrusia stała teraz przy piecu i wygarniała węgle do dołu.

— Ty tam czego leżysz? zapytał Dwajnis żony: — jeszcze piec rozwalisz.

— Nie mogę, brzuch boli.

— Gdzie to Kaziuka djabli zanieśli, że nie wraca do domu? Już chyba niebardzo wcześniej.

— Chodźmy jeść, — poradziła żona, złącząc z pieca: — a przez ten czas może wróci.

Piotrusia wygarnęła węgle, zamknęła piec i wzięwszy z półki misę, naląła z garnka żuru. Matka wyciągnęła łyżki z garnuszka, do którego były złożone.

— Ty, łajdaczko, wczoraj nawet łyżek nie wymyłaś, — pogderła na córkę.

— Ty tylko mnie widzisz, — odcięła się ta, stawiając żur na stole: — a gdzie to ty byłaś z Marysią, że nawet łyżek nie mogliście wymyć.

Matka wlała do kubka wody, postukała w nim łyżkami, potem wytarła je fartuchem i położyła na stole.

Sama usiadła na ławie. Ojciec zalał za róg stołu.

Marysia przyszła z podwórza i porwała za łyżkę.

— Bezwstydnica! — uderzyła ją łyżką Piotrusia: — wstała, jak świnia z barłogu i zaraz za łyżkę. Ani się umyła, ani pyska nie przeżegnała.

— Wielka rzecz! — skrzywiła się Marysia. — A matula czy się myła?

— Ty na matulę nie patrz...

## List do Redakcji.

Szanowny Redaktorze!

Ponieważ wszelkie okłamywanie społeczeństwa—niezależnie od celu—uważam za rzecz stanowczo szkodliwą, czuję się zmuszonym prosić o podanie do publicznej wiadomości w poczynionym piśmie Jego następującego mojego oświadczenia.

Nieznaną mi agencją prasową WAPL rozesłała w dniu 18.IX.1931 „Biuletyn polityczny”, zawierający jedną tylko notatkę pod tytułem: „Zmiany w białoruskich kościołach”, poświęconą całkowicie i wyłącznie mojej osobie. Na samym wstępie komunikatu zamieszczony jest ustęp następujący:

„Wybitny działacz i przywódca narodowy Białorusinów, stale zamieszkały w Wilnie, prof. Antoni Łuczkiwicz, wobec zaostrego kursu antybiałoruskiego, jaki bolszewicy prowadzą na terenie całej Mińszczyzny, wypowiedział się zdecydowanie na rzecz kursu polonofilskiego”.

Z powodu znieszczenia mojego nazwiska nie mogłem narazie poznać w tem sobie, bo *na ten temat nigdzie się nie wypowiadałem*. Tylko z dalszej treści komunikatu, gdzie jest mowa o mojej pracy w gimnazjum białoruskiem w Wilnie i o pewnych momentach z mojej przeszłości, zrozumiałem, iż chodzi tu o mnie.

Nie będę reagował na inne nieścisłości, zawarte w komunikacie, lecz tego pierwszego ustępu nie mogę pozostawić bez odpowiedzi. Posiada on bowiem charakter wyraźnie prokatorski.

W obecnych warunkach, gdy na szkolnictwo białoruskie w państwie polskim syją się dotkliwe ciosy, gdy praca narodowa białoruska u nas napotyka na liczne przeszkody ze strony władz administracyjnych, podobne wystąpienie, które mi przypisuje zagadkowy komunikat, świadczyłoby nietylko o braku u mnie godności osobistej i narodowej, ale również i o zupełnym zaniku zmysłu politycznego. Cel tej mistyfikacji jest aż nadto przejrzysty.

Co się tyczy jubileusza 25-lecia mojej pracy publicystycznej, który podług komunikatu WAPL ma się odbyć w bieżącym miesiącu, to uważam, iż w tak ciężkiej chwili społeczeństwo białoruskie nie o obchodach myśleć powinno, lecz o ofiarnym wysiłku, celem przetrwania i przezwyciężenia trudności, które wyrastają ustawicznie na drodze do lepszego jutra narodu.

Proszę przyjąć etc.

Antoni Łuczkiwicz.

Wilno, 23 IX 31.

## Zaniedbana placówka.

Tak to już od wieków dzieje się na świecie, że zjawiska, na które codzień patrzymy, najczęściej nie przykuwają naszej uwagi. Prostu nie dostrzegamy ich z powodu powszedności tych zjawisk i nie oddziaływania ich bezpośredniego na stosunki gospodarcze w naszych doszczętnie zmaterializowanych czasach.

Jednym z drobnych z pozoru zjawisk, pomijanych milczeniem, jest niesłychany upadek muzyki kościelnej i śpiewu w naszym kraju.

Nie trzeba odznaczać się dobrą pamięcią, aby móc sobie przypomnieć i porównać jak ta sprawa przedstawiała się w czasach, kiedy to wszystkie biedy i niepowodzenia zwykliśmy zwać na niewolę moskiewską.

Porównanie to wypadnie bardzo niekorzystnie dla obecnego stanu rzeczy, choć nie możemy zbyt chwalić się przeszłością. Weźmy dla przykładu samo miasto Wilno. Widzimy tu, iż w kościołach, gdzie fachowi przedwojenni organiści zdołali utrzymać swoje dawne placówki, muzyka i śpiew nie pozostawiają nic prawie do życzenia. Natomiast tam, gdzie nastąpiły zmiany, wypadły one przeważnie na gorsze. Oto we wspaniałym kościele św. Jana, w kościele o tak pięknych tradycjach, śpiew i muzyka na chórze stoja

poniżej wszelkiej krytyki. Olbrzymie organy, ongiś najlepsze w całym kraju, dzisiaj z rozstrojonymi głosami i osobliwą grą, zdawać się może, istnieją po to, by wystraszać pobożnych z tej świątyni. A trzeba wiedzieć, że przy tych organach zasiadał jako organista świętojański wielkiej sławy kompozytor i duma naszego kraju—Stanisław Moniuszko. I po Moniuszce kościół ten zawsze miał na chórze dobrych muzyków, z pośród których Wilno jeszcze dobrze pamięta długoletniego organistę i kompozytora Ludwika Gierynę.

W przeważającej większości kościołów wileńskich, pod względem muzyki i śpiewu, dzieje się obecnie to samo mniej więcej, co w kościele św. Jana, o ile nie gorzej znacznie.

Jeżeli upadek muzyki kościelnej i śpiewu daje się zaobserwować w kulturalnym centrum kraju jakim jest Wilno, gdzie część wiernych ma pewne wymagania estetyczne, to cóż dopiero mówić o parafach małomiasteczkowych i wiejskich? Z przykrością stwierdzić należy, iż w większości kościołów prowincjonalnych, wysłuchanie nabożeństwa przez kulturalnego człowieka, połączone jest ze zmuszaniem siebie do słuchania produkcji z chóru, urągających elementarnemu poczuciu muzycznemu. Nieśmiałe przy nabożeństwach wrzaski na wysokich nutach—to zjawisko powszechne tam, gdzie, istnieje przygodne zbiorowisko, zwane chórem kościelnym. Jeśli zaś tego nie ma, to jegomość zwany przez nieporozumienie organistą, uświetni nabożeństwo takim solowym koncertem, że nieprzyzwyczajony do tego człowiek woli już modlić się w domu.

Należy teraz zastanowić się dlaczego tak się dzieje?

Stan śpiewu kościelnego i muzyki zależny jest całkowicie od tego, jakie kwalifikacje posiada organista przy danym kościele. Zaś kwalifikacje tego ostatniego zależą znowu od wymagań, jakie stawia duchowieństwo. Nie można zatem kwestji upadku muzyki kościelnej i śpiewu odłączyć od kwestji położenia organistów i ich wykształcenia.

Kwestja ta nie jest nowa i ma już swoją historję. Jeszcze przed wojną światową organiści nieraz próbowali przez zrzeszenie się poprawić swój byt, podnieść poziom umysłowy, szerzyć wiedzę fachową i zatamować nadprodukcję organistów przez niedopuszczanie prywatnego, niefachowego nauczania muzyki kościelnej. Odbywały się zjazdy w Warszawie, wychodziły czasopisma zawodowe („Ogniwo”, „Śpiew Kościelny” i inne). Brali w tem udział i organiści z ziem litewsko-białoruskich, chociaż później Kowno skutecznie konkurowało z wpływami Warszawy i organiści litewscy grupowali się dokoła wybitnego kompozytora i organisty kowieńskiego Novialisa.

Wilno też nie było obojętne na sprawę organistów. Rozumiano, iż należyce załatwiona ta kwestja nietylko przyczyni się do podniesienia muzyki i śpiewu w kościołach, ale też wzmocni placówkę kulturalną, jaką jest stanowisko wykształconego organisty przy kościele na wsi. To też w roku 1908 Józef Montwiłł zakłada w Wilnie szkołę organistów, w której studjowano nietylko muzykę kościelną i świecką, ale kładziono nacisk również na przedmioty ogólnokształcące. Personel nauczycielski składał się z pierwszorzędnych miejscowych sił, dobrze Wilnu znanych, a mianowicie: pp. St. Kościółkowskiego, St. Cywińskiego, Wł. Kalinowskiego, J. Leśniewskiego, ks. Brazisa i inn. Do tej że szkoły zostali zaangażowani z Warszawy obecny dyr. konserwatorium p. Wyle-

żyński i Ludomir Rogowski znany kompozytor, który, nawiasem mówiąc, chociaż był tu przybyszem, z wielkimi umiłowaniami poświęcił się studjom nad ludową pieśnią białoruską, założył pierwszy chór białoruski w Wilnie, pisał kompozycje na tematy ludowe białoruskie i szerzył zamiłowanie do poznawania wartości miejscowych wśród uczniów tej szkoły.

Zdawać się mogło, iż sprawa organistów już wchodziła na dobrą drogę, lecz wybuch wojny światowej i jej dalsze skutki zniweczyły wszystkie plany, do zamknięcia szkoły włącznie.

Należało spodziewać się, że z nastaniem wolności, kwestja ta stanie się bardziej aktualna. Stało się inaczej.

Gdy tylko okazało się, że sejmy i rządy nie tylko organistom nie zamierzają dać jakichkolwiek gwarancji prawnych na wzór innych krajów, ale nawet nie popierają szkolnictwa istniejącego już przedtem—rozpoczęła się powolna, lecz stała ucieczka organistów z kościoła. Ułatwił tę ucieczkę otwarty dostęp do urzędów polskich w pierwszych latach niepodległości. Niemal w każdym urzędzie państwowym, obecnie można napotkać byłych organistów, a niektórzy z nich zajmują nawet wyższe stanowiska w administracji lub w organizacjach samorządowych. Kto z organistów nie mógł czy nie miał kwalifikacji na urzędnika, uciekał gdzie się dało. Grać wolał w kinie, restauracji, kawiarni, byle tylko nie w kościele, bo w kościele pracując musiał, obciążony rodziną, cierpieć niedostatek i być narażonym na poniżające traktowanie ze strony proboszcza, który przecież może go wydalic kiedy się podoba i za co się podoba. Wydalony organista nie ma komu się nawet poskarżyć. Niech no popróbuje pójść do biskupa, a będzie zbojkotowany przez wszystkich księży. Nic więc dziwnego, że piszący te słowa zna organistę z dyplomem szkoły muzycznej, który w braku czegoś lepszego wolał zostać dozorcą w jednym z więzień w Polsce, niż poniewierać się w zapadłej parafji, gdzie może być zmuszonym pełnić obowiązki jednocześnie i zakrystjana i parobka w polu. W ten sposób liczba zdolnych organistów pomniejszała się i pomniejsza się stale. Że jednak kościoły katolickie bez organistów obejść się nie mogą, miejsce tych uciekinierów zastąpił tłum analfabetów muzycznych, rekrutujących się z kompletnych nieuków wiejskich.

A tymczasem wznowiona przed kilku laty szkoła organistów w Wilnie ledwo vegetuje z braku funduszy. Zresztą wychowankom tej szkoły stoi obecnie na drodze organista niefachowiec.

Ten tani „organista” wytworzył warunki osobliwe. Największe kwalifikacje na posadę ma ten kandydat, który ma najmniej wymagań od swego proboszcza. Skromność, uległość i pokora najzupełniej zastępują mu znajomość nut. Doszło do tego, że księża nawet nie wstydzą się poszukiwać zakrystjanów i organistów w jednej osobie przy pomocy ogłoszeń w pismach. Można sobie wyobrazić, jak ta swoista ekonomja działa na poziom muzyki i śpiewu w kościele.

Z przyczyn powyższych stoimy przed faktem kompletnego upadku kulturalnej placówki, która w historii muzyki nie tylko w krajach zachodnich ale i u nas odegrała nie małą rolę. Nie należy bowiem zapominać, że zawód organisty nie jest rzemiosłem i dał światu w dziedzinie sztuki takich olbrzymów jak Bach, Händel, Gounod i niezliczone zastępy innych. Kwestja organistów, to nie tylko sprawa kościelna, jest to sprawa pierwszorzędnej wagi i pod względem społecznym. Muzykowi kościelnemu należy

dać możność kontynuować jego misję nie tylko służenia Kościołowi, ale także umuzykalniania szerokich mas poza kościołem przy pomocy organizowania chórów, orkiestr, co oczywiście nie wyklucza jego pracy na niwie społecznej i poza muzyką.

Doświadczenie czasów ostatnich nauczyło, iż sami organisci nie zdołają poprawić swego losu. Wszelkie próby organizacji spełzyły na niczem. Większość dzisiejszych organistów niedouczonek, w obawie utraty chleba, nie śmie nawet zjawić się na ad hoc zwoływane zjazdy. Wreszcie zakulisowe intrygi niektórych warszawskich organistów doprowadziły obecnie do rozłamów i ruiny w istniejącym jako tako związku organistów.

W rozwiązaniu tej kwestji niepodobna także liczyć na czynniki państwowe. Ani w rządzie ani w Sejmie niema zrozumienia dla tej sprawy. Dowodem tego jest fakt, iż w 1929 roku, gdy jeden z posłów, należący do demokracji chrześcijańskiej wniósł, w formie poprawki przy głosowaniu nad budżetem, o uchwalenie pewnych sum na poprawę bytu organistów — żadnego poparcia nie uzyskał.

Kwestję organistów w naszym kraju może i powinno załatwić samo duchowieństwo. Nic ono do tego czasu pod tym względem nie uczyniło, choć episkopat polski miał okazję po temu przy zawarciu konkordatu. Swoją biernością i poszukiwaniem taniego organisty najwięcej ono zawiniło w upadku muzyki kościelnej, to też od niego należy oczekiwać poprawy tego zaniedbania. Trudno, co prawda, spodziewać się jakiejś inicjatywy od skromnych proboszczów wiejskich, którzy zainteresowani są nawet materialnie w istnieniu obecnego typu organisty, natomiast duchowieństwo wyższe z powodzeniem może przeprowadzić reformę. Zresztą w niejednej diecezji w Polsce już istnieją pewne korporacje, mające na celu poprawę bytu organistów. Oto na przykład w diecezji lubelskiej przy kurji biskupiej istnieje komisja mieszana do spraw organistów. Rozwiązuje ona wszelkie zatargi wynikłe pomiędzy księdzem a organistą. A tymczasem w Wileńszczyźnie nic w tym kierunku nie zrobiono.

Już wielki czas, by wileńska Kurja metropolitalna pofatygowała się coś zrobić dla podniesienia muzyki i śpiewu kościelnego. A zacząć to należy nie od zjazdów i kongresów muzyki kościelnej, jak to niedługo ma nastąpić w Krakowie, lecz od próżniczego zabezpieczenia znośnego bytu fachowych muzyków kościelnych, a potem dopiero przejść do pogłębiania wiedzy zawodowej i ogólnej i redukcji nieuków. Któż bo z młodzieży w przeciwnym wypadku zechce poświęcić się długoletnim studjom muzycznym, skoro wie, że w przyszłości czeka go bieda i poniewierka?

Wiadomo powszechnie, iż ks. arcybiskup Jałbrzykowski zdradza nieprzeciętną ruchliwość w sprawach nawet niekoniecznie związanych z potrzebami Kościoła. Dobrzeby było, gdyby chociaż częstokroć tego nadmiaru energii, zużywanej na sprawy często natury politycznej, zechciał udzielić palącej potrzebie podniesienia tak rozpaczliwie zaniedbanej placówki.

A. B.



## Dzieje jednego oszczerstwa.

Przed rokiem w Moskwie, nakładem polskiego bolszewickiego wydawnictwa „Trybuna”, wyszła opracowana przez polskiego komunistę J. Ostrowskiego książka pod ciekawym tytułem: *Z za kulis kurji biskupiej w Leningradzie* (str. 320 i liczne facsimilia). Złożyły się na nią: obszerny, ale nudny wstęp J. Ostrowskiego, krótki, lecz b. ciekawy pamiętnik kanclerza (?) tej kurji, ks. kan. Jana Trojgi, wreszcie szereg listów ś. p. arcybiskupa Cieplaka i ks. Trojgi do metropolity Roppa w Warszawie i odwrotnie. Otóż w jednym liście metr. Roppa do arcybiskupa Cieplaka, zamieszczonym na str. 296, czytamy dosłownie: „*W Kownie biskup (t. zn. Karewicz) i duchowieństwo zupełnie jakby oszaleli (!), horrenda się słyszy o ich mowach i czynach*”. Tu się rodzi pytanie: co takiego doszło w pierwszych latach istnienia niepodległej Litwy do wyższych katolickich sfer Warszawy, skoro padły słowa tak ostre, jak powyższe, dla określenia nadeszłej z za Niemna pogłoski?

Gdy w grudniu 1918 r. zajęła Wilno samoobrona polska, a na Wielkanoc wkroczyły do Wilna wojska polskie, późniejszy premier ministrów litewskich, ludowiec Slezewicz uformował *Komitet do obrony Litwy przed Polską* i wydał, pod wrażeniem niezmiernie bolesnej dla uczuć narodowych litewskich chwili, płomienną odezwę do narodu, by kto tylko może i czem tylko może, — z widłami czy kosą, — śpieszył ku obronie kraju przed imperjalizmem Polski. W takim oto momencie w kołach polskich w Litwie, ktoś równie niemądry, jak złośliwy puścił pogłoskę, że na czele tych kosynjerów litewskich stanął nie kto inny, jeno... biskup Karewicz! Mimo że radykalny Komitet oczywiście nie mógł się zwracać do biskupa katolickiego z zaproszeniem do uczestniczenia, a ten znowu jaknajdalej stał od takiej akcji, niedorzeczna plotka wyznaczyła w niej bp. Karewiczowi rolę księdza Marka lub biskupa legjonowego Bandurskiego.

I zaczęła się dokoła plotki korespondencja urzędowa.

Tak już 13.VII 1919 pisał nuncjusz apostolski arcybiskup Ratti z Warszawy do ś. p. biskupa wileńskiego Jerzego Matulewicza: „Co wiem, to nic nowego, chyba żem widział jakąś proklamację, wydaną przez „Komitet Obrony Litwy” do robotników i rolników, przytem zbyt ostrą, by można było wierzyć, iż została wydana z aprobatą i poleceniem biskupa. Powiadają jednak, że biskup żmudzki jest w tym komitecie”. — Rzecz jasna, że nie wahano się bezpodstawnego oskarżenia przemyścić nawet do nuncjatury apostolskiej.

Mało tego, sprawy nie zasypiano, lansowano ją dalej, bowiem w parę miesięcy potem 4.VIII.1919 nuncjusz Ratti znowu pisze z Warszawy do b-pa Matulewicza: „Błąka się tu pogłoska, że Jego Ekscelencja Karewicz zapisał się na członka „Komitetu”, t. zw., „Obrony Litwy”, który wydaje nadzwyczaj ostre odezwy przeciw Polakom, a budzące nienawiść również jednych klas społeczeństwa do drugich. Dlatego jeśli się dowiesz, że to prawda...” — Fragment powyższy świadczy, że nuncjusz tym razem już nie tylko komunikował sensacyjną pogłoskę ze stolicy, lecz prosił cieszącego się jego zaufaniem b-pa Matulewicza o zbadanie sprawy.

Jednak sprawa na tem się nie skończyła.

Oto w r. 1921 w Nr. 4—5 znanego ze swej stronniczości pisemka informacyjnego *Bulletin Catho-*

*lique de Pologne*, wydawanego w Warszawie, Br. Butrym tak dosłownie atestował swego kowieńskiego ordynariusza: „*Le Comité pour la defense de la Lithuanie, à la tête duquel se trouve (sic) l'éveque, publie des appels, qui sont tous sanguinaires*”. Propaganda polska umyślnie szerzyła ten numer i w Rzymie, aż sprawą zainteresował się Sekretarjat Stanu. Właśnie ówczesny szef tej instytucji kard. Gasparri zawezwał do siebie przedstawiciela Litwy przy Stolicy św. ks. prałata dr. Jerzego Narjewskiego i odczytał mu relację w języku francuskim z biuletynu powyższego, opiewającą, że b-p Karewicz wydał odezwę zachęcającą... *massacrer Polonais*. Ks. Narjewski na to odpowiedział, że oskarżyciele taką odezwę, jeśliby w rzeczy samej istniała, mogliby przecież zdobyć i przedstawić eminenncji w oryginale... Jednak tego nie uczynili. Na to kard. Gasparri odrzekł: *I ja podejrzewam, że w tej relacji coś nie zgadza się z rzeczywistością*.

Przybyły później na Litwę z Warszawy gen. Babiński też uporczywie twierdził w Kownie, że b-p Karewicz stał jednak na czele „Komitetu” i niewiadamo, czy dał się wreszcie przekonać, iż padł ofiarą mistyfikacji, a właściwie własnej łatwowierności, bowiem twórcą, prezesem i duszą „Komitetu” wzmiankowanego był, od początku do końca, wyłącznie Slezewicz. Atoli cała ta akcja, wyolbrzymiona w Polsce, trwała zbyt krótko, urwała się i na życiu Litwy wcale nie zaważyła.

Ale czyż jest środek skuteczny na łatwowierność?!... Nie ustrzegł się jej nawet sędziwy metropolita Ropp.

\*

Hr. Karol i Hipolit Korwin-Milewscy, OO. Zmartwychwstańcy, SS. Nazaretanki, ś. p. o. Aleksander Mohl T. J., monsignore Skirmunt, kanonicy ś. p. Pacewicz i żyjący Żongolłowicz do niedawna jeszcze byli jedynymi słuchanymi przez Rzym informatorami jego o sprawach litewskich, białoruskich i ukraińskich. Informatorami, rzeczoznawcami, arbitrami... *Lucus a non lucendo...*

Pr. K.

## Sytuacja w Polsce w oświetleniu pisma litewskiego.

„Lietuvos Aidas” z d. 10.IX b. r. daje następującą ocenę rządów Marszałka Piłsudskiego, która, pomijając pewną jej przesadę i tendencyjne zgęszczenie czarnych barw, świadczy, że Polska jest przedmiotem pilnej obserwacji Kowna.

Za parę miesięcy upływa rok odkąd Piłsudski spokojnie sprawuje w Polsce dyktatorskie rządy. W roku ubiegłym mia-nowicie długoletnia walka Piłsudskiego z sejmem zakończyła się sukcesem. Sejm obecny nietylko nie stanowi żadnej opozycji, lecz jest posłusznym narzędziem w ręku dyktatora. Rozporządzając absolutną większością karnych piłsudczyków, Piłsudski dziś wydaje sejmowi rozkazy zupełnie w ten sposób co swojej armji. Jest wprawdzie jakaś taka opozycja, lecz Piłsudski mało na nią zważa. Z drugiej strony zresztą opozycja tak jest zróżniczkowana i reprezentuje często tak sprzeczne interesy, że walka z nią jest bardzo łatwa. Piłsudski może przedewszystkiem rozporządzając absolutną większością przeprowadzić w sejmie co tylko zechce, z wyjątkiem oczywiście takich spraw jak konstytucja, do której potrzebna jest większość kwalifikowana.

Nikt więc obecnie Piłsudskiemu nie przeszkadza. Mogłby on opracować i przygotować co tylko zechce. Mogłby pokazać co umie. Dotychczas jednak żadnych owoców tak nieograniczonej władzy nie widać. Przeciwnie sytuacja wewnętrzna Polski w czasach ostatnich znacznie się pogorszyła, a w zakresie polityki międzynarodowej również poprawy nie widać. Kryzys

wewnętrzny w Polsce wciąż się zaostrza. Deficyt budżetowy ma być znacznie większy aniżeli pierwotnie przypuszczano. Były minister skarbu Matuszewski nie mógł znaleźć pokrycia wydatków w wys. 150 milj. zł. Obecnie się mówi o tem, że deficyt ma być przeszło dwukrotnie większy pomimo wszystkich redukcji i oszczędności. Do zbilansowania budżetu nie pozostaje innego wyjścia jak zaclagnięcie pożyczki. Jednakże jedyny kraj, na który Polska mogłaby liczyć w obecnych warunkach w sprawie pożyczki, a mianowicie Francja zapatruje się na pożyczkę w celu łącania dziur budżetowych bardzo nieprzychylnie. Francja już sporo pieniędzy w Polskę wetknęła. W r. b. dała Francja pieniądze na budowę kolei Katowice-Gdynia. Dałaby być może jeszcze na jakieś produkcyjne potrzeby. Jednak dla łącania budżetu banki paryskie niezbyt chętnie kasy swe by otwary.

Deficyt budżetowy stanowi więc bardzo poważną łami-główkę dla rządu Piłsudskiego. W zakresie oszczędności dokonał on, jak się zdaje, największych wysiłków. Place urzędnicze, już poprzednio niewysokie, zostały mocno obcięte. Tak np. najniższy urzędnik sekretarz urzędu pobierał poprzednio 170 zł., obecnie obcięto jego pobory do 142 zł. W Litwie gońcy więcej otrzymują.

Radcy ministerjalni otrzymywali 480 zł., obecnie zaś 407 złotych. Wiceministrowie pobierali po 1056 zł., obecnie zaś—880 zł. Ministrowie otrzymywali po 1283 zł., obecnie zaś 1068 zł. Z powyższego wynika, że o wysokie place oskarżać Polaków niepodobna. Bóg jeden raczy wiedzieć jak urzędnicy polscy z takimi placami mogą się utrzymać. Więcej obcinać plac już niepodobna. Zaczęto więc reformować instytucje i redukować liczbę urzędników. Mimo wszystko końca z końcem związać nie można. Deficyt wzrasta z miesiąca na miesiąc.

Oczywiście deficyt budżetowy jest tylko jednym z następstw ogólnej depresji. W przemyśle stagnacja i bezrobocie. W lipcu liczba bezrobotnych wynosiła ok. 310 tys.; w roku ub. w tym samym czasie—ok. 225 tys.; przed dwoma laty—115 tys. Bezrobocie wzrasta więc progresywnie i nie widać kresu tego zjawiska. Notabene sami Polacy nie przeczą, że statystyka oficjalna obejmuje część tylko bezrobotnych a mianowicie bezrobotnych wielkich miast i ośrodków przemysłowych. W małych miasteczkach bezrobotnych jest mnóstwo, chociaż nikt ich tam nie rejestruje.

W r. ub. w ciągu pierwszego półrocza eksportowała Polska na sumę 1235 milj. zł. W r. b. w tym samym okresie eksport wyrażał się sumą 950 milj. zł. Innymi słowy pod względem wartości eksport się zmniejszył niemal o 25 proc., co jest odsetkiem bardzo wysokim w krótkim rocznym okresie.

Urodzaj w Polsce w lipcu r. b. był przeciętny. Oziminy zapowiadały się nieco gorzej od zbóż jarych. W sierpniu deszcze mocno zaszkodziły ozimynom a zwłaszcza zbożom jarym, tak, że urodzaj okazał się niższy od przeciętnego. W niektórych województwach wschodnich, zwłaszcza w wileńskim i nowogródzkim wypadł urodzaj tak marny, że nie wystarczy zboża na zasiewy.

Jak ciężko depresja gospodarcza odbija się na Polsce, wynika chociażby z tego, że szereg pism warszawskich zbankrutowało, zaś inne są na progu bankructwa i znajdują się pod kuratelą sądową. Bardzo się zmniejszyła bowiem liczba ogłoszeń i pisma nie mogą powiązać końców. Swym współpracownikom zmniejszyły redakcje pism wynagrodzenie do 80 proc. (?) Dziennikarze wydani zostali na pastwę strasznej nędzy.

Wszystko to świadczy o tem, z jakimi to trudnościami gospodarczymi Piłsudski musi walczyć.

Stosunki z mniejszościami narodowymi się nie poprawiły. Oczywiście najwięcej troski budzą Ukraińcy. Wiele się spodziewano od akcji biskupa przemyskiego Chomiszyna, który chciał założyć przyjazną Polsce partję. Praca Chomiszyna nie dała jednak spodziewanych wyników. Nic nie pomógł też list pasterski. Rokowania z Ukraińcami nawiązał Hołowko. Z początku rokowania zapowiadały się dosyć owocnie, lecz potem się rozsprzęgły. Ukraińcy żądali i żądają całkowitej niepodległości. Dopóki od żądania tego nie odstąpią, porozumienie, rzecz prosta, jest niemożliwe. Hołowko, który się specjalnie zajął uregulowaniem stosunków z mniejszościami, został niespodziewanie zamordowany. Kim byli ci zbrojnicy, jeszcze nie wyjaśniono. Prasa polska zawczasu jednak zaczęła twierdzić, że dokonali tego Ukraińcy i domagać się nowych represyj. Mimo, iż jeszcze niewiadomo kim byli mordercy, trudno wierzyć, ażeby to byli Ukraińcy. Nie mieli oni żadnego wyrachowania w zgładzeniu Hołowki, gdyż ten ostatni nic złego Ukraińcom nie zrobił. Odwrotnie był on przeciwnikiem represyj a stronnikiem porozumienia, Zabójstwo Hołowki pogorszyło jeszcze bardziej stosunki z Ukraińcami. Co się tyczy innych mniejszości: Białorusinów, Niemców i Litwinów stosunki są takie same co z Ukraińcami. Jedynie z Żydami stosunki uległy, jak to można skonstatować, poprawie.

W polityce zagranicznej również trudno się dopatrzeć sukcesów. Przeciwnie, o ileby się Moskwie udało porozumieć z Paryżem i Polska pozostała na stronie, sytuacja jej uległaby pogorszeniu. Polsce porozumieć się z Sowietami będzie trudno. Stosunki z Niemcami poprawie nie ulegają i ulec nie mogą, dopóki korytarz gdański i Górny Śląsk znajdują się w rękach polskich. Mając z jednej i z drugiej strony takich wrogów jak Sowiety i Niemcy Polska, rzecz prosta, czuje się nieswojo. Piłsudskiemu się nie udaje i pewnie nigdy się nie uda tej ciężkiej sytuacji naprawić.

Mimo wszystko, o ile ciężko jest obecnie Polsce z Piłsudskim, to bez niego byłoby jeszcze ciężiej. Obecnie jest przynajmniej jaki taki ład i znacznie więcej spokoju niż za czasów rządów partyjnych. Bez Piłsudskiego Polska niechybnie całkowicie pogrążyłaby się w anarchji.

## Egzaltacja.

Nie było tajemnicą, że w podziemiach Bazyliki wileńskiej zostały złożone na wieczny spoczynek szczątki króla polskiego i w. księcia litewskiego Aleksandra Jagiellończyka oraz dwóch żon Zygmunta Augusta: Elżbiety i Barbary.

Wiedziano o tem i nikt się specjalnie nie interesował, w którym miejscu i w jakim stanie groby te się znajdują. Zupełnie wypadkowo, podczas robót, mających na celu umocnienie fundamentów Bazyliki, natrafiono na zamurowaną kryptę, kryjącą w sobie prochy królewskie.

Odkrycie niewątpliwie niezmiernie ciekawe pod względem archeologicznym, głównie ze względu na znalezione insygnja monarsze, korony, berło, może jeszcze jakie inne przedmioty, które, jest nadzieja, że się odnajdą po starannem zbadaniu spróchniałych trumien i zmurszałych kości.

Nie rozumiemy jednakże zupełnie tego uniesienia, tej egzaltacji, jakie zapanowały w pewnych kołach społeczeństwa wileńskiego, a które podsyca gwałtownie prasa codzienna, w pierwszym rzędzie rozgorączkowane, mającące jak w malignie „Słowo”.

„Wielkie, wielkie odkrycie!—pisze p. Cat.—Budzimy ze snu tych, co symbolizowali nasze państwo, nasz naród, Polskę i Litwę, Litwę i Polskę. Musimy tu wobec tego grobu stanąć w głębokiej najuroczystszej modlitwie. Miejmy nadzieję, że będą się modlić tutaj koło tego grobu, w chwili ceremonji złożenia resztek do nowych trumien na miejsce zbutwiałych nasz Oswobodziciel i Wódz, a także Prezydent Rzeczypospolitej, że zaproszony będzie Otton Habsburg, rodzina x. x. Radziwiłłów. Uważam, że wysłać także należy zaproszenie do prezydenta Republiki kowieńskiej”...

Monarchistycznemu „Słowo” sekunduje dzielnie demokratyczny „Kurjer Wileński”.

Przecieramy oczy i pytamy, co się stało? Przecież na Wawelu jest o wiele więcej grobów królewskich i nikt tam nie stawia straży honorowych, nikt się przy nich nie modli i nikt ich nie odwiedza, prócz ciekawych turystów.

A zwłoki króla Stanisława Augusta spoczywają w bolszewickim Leningradzie i nikt nie myśli o ich sprowadzeniu do kraju.

Nasuwa się więc mimowoli pytanie: czy cały ten entuzjazm jest szczyry, czy też sztuczny, robiony w tym celu, by zmanifestować „wielkopańską” prawdziwej narodowej duszy polskiej—jak się wyraził anonimowy współpracownik „Kurjera Wileńskiego”.

a.